

Matěj Hořava, Palinka. Prozy z Banatu

Przekład: Anna Radwan-Żbikowska

[fragment]

Salto mortale

Sala gimnastyczna w Děčínie, w której po raz pierwszy rzuciłem się w tył, w nieznaną, jakby na głowę; ta przeniknięta wiecznym obłokiem magnezjowego pyłu sala gimnastyczna już dawno nie istnieje: spłonęła, spłonęła gdzieś w latach osiemdziesiątych; nie wiem dlaczego, zapewne ktoś wrzucił zapałkę do jamy z pociętym na paski poliuretanem (do takich jam można było spadać nawet na głowę; w takich jamach można było się zagrzebać i udawać nieistnienie, nieobecność, niebyt: pełne nadziei i wysoce łatwopalne jamy). Miałem pięć albo sześć lat, za oknem smog jesiennego Děčína i wcześniej zapadłe ciemności; tęcza wokół wielkich lamp (trzeba było przymknąć oczy; tęcze nie pojawiały się tak łatwo jak przy światłach na basenie); a ja rzuciłem się w tym – nieskoczonym dotąd – ćwiczeniu; i nie wiedząc nawet, jak to się stało, po chwili ciemności i rozmażanych świateł nagle stałem znowu na nogach; rzuciłem się w nieznaną, w dodatku tyłem, w ślepotę; i stałem na nogach; ktoś zaklaskał; ktoś spadł z poręczy; biały pył magnezji bez końca unosił się w tym dawno na popiół spalonym budynku; moje pierwsze salto z miejsca, salto w tył; to absurdalne przetoczenie się nad ziemią z nieoczekiwanym lądowaniem na nogach...

Odkąd wyszedłem wtedy z sali gimnastycznej, skakałem to salto po wielokroć każdego dnia: ku radości i podziwowi mieszkańców osiedla na północy Czech; koledzy z przedszkola chodzili za mną i marudzili, żebym ich tego nauczył; przynosili mi plastikowe żołnierzyki, modele pistoletów, noże; nauczycielki w przedszkolu mdlały i każdego dnia skarżyły się mojej mamie... Skakałem na trawie, na betonie, na filcach i parkietach osiedlowej sali gimnastycznej, na dywanach cudzych mieszkań (to już kilka lat później, kiedy zacząłem chodzić do szkoły, a po szkole do mieszkań swoich kolegów); skakałem salta w starej willi, w której zasuszona, a jednak przewyższająca wszystko swoim międzywojennym czarem dama, Niemka niewypędzona po wojnie, uczyła mnie grać na fortepianie (*mein Gott, mein Gott*, wzdychała ze strachem); skakałem na szkolnych korytarzach; w lecie na mączce ceglanej (pod ścianą, o którą waliłem całymi dniami piłeczką do tenisa, jakby zależało od tego moje życie); skakałem w tył w wody basenów, kąpielisk, stawów, kamieniołomów...

Potem wszystko się rozpadło; upadłem na południe Moraw, w chłód, w jakąś cichą i duszną (i przede wszystkim nienaruszalną) grozę; nagle kręciłem się w powietrzu coraz dłużej, wyżej i w coraz większym przerażeniu; stary, maleńki skok w nieznane nagle stał się czymś dawnym, dalekim, dziecinnym; dorastałem w kurzu i wrzasku sali gimnastycznej przy ulicy Lenina, przy ulicy Kounica, nie wyjąłem z pudełka zapalniczki, nie zapaliłem jej i nie zanurzyłem w jamie pełnej pociętego poliuretanu: w końcu dojrzałem... Ale wciąż skakałem salto; to dziecinne, niedojrzałe, dawne, przywiezione z daleka salto: ku przerażeniu i podziwowi dziewcząt i kobiet skakałem pijane salta w knajpach, w klubach teatralnych (później również na scenie jako klaun; kochałem teatr, a dostałem się na deski tylko i wyłącznie dzięki temu mizernemu saltu); coraz bardziej i bardziej pijany, skakałem paradoksalnie coraz pewniej i stabilniej; nie było dnia bez picia, picia bez salta... Starłem się coś osiągnąć: na próżno sięgałem po muzykę, słowa, kobiety, sztukę: wszyscy od razu dostrzegali absolutną bezcelowość moich starań; a kiedy robiło się naprawdę źle, kiedy nie było się już czym popisać, kiedy nie dało się już wyjąć z rękawa żadnego fałszywego asa, nic, zupełnie nic: wtedy rzucałem się nagle w tył, w nieznane: skok i podziw; patrzący otwierali szeroko oczy i usta w dziecięcy sposób; żadne słowa, żadna sztuka, żadne opowieści: nic nie sprawiło tego, co ten stary, głupi, bezwartościowy, dziecinny trik; mężczyźni nagle klepali mnie po ramieniu; kobietom nieco bardziej ciemniały oczy...

Zapalam zapalniczkę tego styczniowego dnia; w wielkiej, białej chałupie; zapalam zapalniczkę i podpalam odcięty skrawek opony: zanurzam go w ciemności pieca, pomiędzy drzazgi, a te (jeśli Bóg da) zapalą wilgotne, jeszcze nazbyt żywe drewno grabowe; zapalam zapalniczkę i chcąc nie chcąc wyobrażam sobie płomyk wpadający w ciemność pomiędzy skrawki poliuretanu... Dziś rano biegłem do szkoły jeszcze w ciemności (po kolana w śniegu), nawet nie zdążyłem się rozgrzać; a teraz, po południu, po powrocie z wyczerpującej nauki, jest tu zimno jak w kostnicy. Zapalam zapalniczkę, spoglądam w ciemność pieca; przykucam: trochę boli mnie kostka: to od lądowania: wprawdzie dobrze, prosto na nogi, bez stąpania do przodu czy w bok (mówiliśmy na to *ustać salto*), ale nogi przecież zestarzały się już, odwykły od skoków... Salto: dzisiaj: po tak długim czasie, tutaj: zakład: zakład z chłopakami z ósmej klasy: jeżeli nauczą się w końcu wszystkich wyjątków w pisowni po b, ja skoczę salto z miejsca; chłopcy się nauczyli, do klasy wepchnęły się wszystkie dzieci od najmniejszych po najstarsze (już nie tak trudno wepchnąć je do jednej klasy; wymieramy tu dość szybko); nie wierzyły. Stałem przed tablicą i skoczyłem: po długim, długim czasie moje ciało zakreśliło w powietrzu koło, po długim czasie rzuciłem się w tył, w nieznane: spadłem na nogi, bez kłopotów (kostka rozboleła dopiero później); dziecięce buzie rozwarły się w zadziwieniu, podekscytowanym krzyku; zaskoczony szczebiot poruszył salę; ósmoklasiści, z którymi się już nawet biłem, nagle spoważniali, zmiękli; wszyscy natychmiast chcieli, żebym ich uczył (oczywiście salta, nie materiału

szkolnego): chłopcy, dziewczęta, wszystko garnęło się do mnie, ciągnęło mnie za rękawy; pięcioletni Karlik z przedszkola (maleńki blondynek: jak ja *wtedy*, jak ja w sali gimnastycznej w Děčínie , jak ja *po raz pierwszy*) stał wciśnięty w róg klasy, przy piecu: oczy na oścież, buzia na oścież, dziurki w nosie na oścież, i jak we śnie wykrzyknął nagle dziecięcym, zachrypniętym głosem: *Panienko Maryjo, salto mortale*.

Samomowa

Mówienie do siebie: to musiało nadejść... Co próbuję sobie wmówić: nadejść?... Mówienie do siebie: to nie mogło odejść, nie mogło dobrzmieć, nie mogło ucichnąć, zamilknąć... Zaiste: czasem orientuję się, że mówię: że mówię, kiedy mozolę się nad czymś w chałupie czy na podwórku... Samomowa... Czasem wszystko jest zamaskowane: jak szalony staruszek albo Indianin mówię do pieca, mówię do noża, do grabowego polana, które zaraz rozłupię siekierą albo wrzucę w żar ognia; mówię do kłódki, do skobla, klucza, miotły... Nawet szept modlitw zmienia się tu w samomowę... Czytam na głos; recytuję na głos klasyków greckich i rzymskich; opowiadam dowcipy Sherlockowi Holmesowi i sam się z nich śmieję... Powtarzam dziecięce słowa; powtarzam przepiękne słowa i dziwne zdania miejscowego narzecza; mówię po rumuńsku, po angielsku, po niemiecku: samomowa lubi się ukrywać, lubi wypożyczać cudze głosy, cudze języki, lubi wymyślać dziwacznych mówców i jeszcze dziwaczniejszych adresatów... *Who's on first, who's on first...* Samomowa lubi się chować za westchnieniem; lubi zakładać maskę śpiewu: moja rozstrojona gitara i mój rozstrojony głos, często niewiedzący już, w jakiej pozycji się ułożyć, którą rolę przyjąć: tak wiele postaci błądzi po chałupie, tak wiele mężczyzn i kobiet błądzi w tej ciszy i stara się porozumieć, dogadać: stara się coś powiedzieć, szepnąć temu drugiemu: ale dokładnie w momencie, gdy przemówi, w zasięgu są – to nie do zniesienia – tylko własne uszy; jedynym słuchaczem jest zawsze tylko ten, który mówi... Blok na osiedlu w Brnie; dziecko bawi się stertą zabawek, figurek: każda ma własny głos; dziecko jest coraz większe, a figurki nie odchodzą, zabawki nie znikają: wręcz przeciwnie: z czasem coraz więcej figurek wkracza do obrzydliwego pokoju w bloku: kobiety, mężczyźni, śpiew, poezja: z tyłu ust i dla tyłu uszu: i z jednych ust, dla jednych uszu... Jak mogłem mieć kiedyś nadzieję, że tutaj to się skończy? Jak mogłem w ogóle wierzyć, że ta chałupa, te wzgórza, ta zagranica, to rumuńsko-serbskie pogranicze mogą być lekiem na samomowę?... Trener często mi wymyślał; znajdował różne słowa: później znalazł to, które mu się spodobało i które często potem tatuował na moim czole na oczach kolegów z klasy: *samorost...* *Samorost*; myślał, że to wyzwisko; w głębi duszy to nie był zły człowiek; w głębi duszy był dobry; właściwie

starał się przebić przez moją samomowę i beznadziejnie mu to nie wychodziło: nie dawał sobie ze mną rady; lubił mnie... Samorost: również to słowo wrosło później w łańcuch moich samomów, kiedy w bloku na brneńskich Bohunicach śpiewałem w kółko, całą noc, aż do wyprania mózgu: W sobie siebie sam przerastam... Błądę po chałupie; błądę słowami; i nie ma wosku ani masztu i okowów, mogących mnie uchronić od tych głosów; nie ma powrotów. Głosy mówią; już od chwili, gdy wyjechałem z blokowiska na północy Czech do blokowiska na południu Moraw; a ja, szaleniec, myślałem, że mogłyby zniknąć tutaj, że mogłyby zniknąć w ciszy; że należę do tych silnych, potrafiących zgładzić wszystkie pokusy samotnością. Błąd nad błędami: całe moje życie... Za próżną naszą samomowę nie karz nas, Panie!